

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Urodziłem się 16.04.1930r. w Wilnie. Ojciec był robotnikiem, pracował w szpitalu św. Jakuba, matka Anna. W Wilnie mieszkaliśmy we własnym domku przy ul. Sokolej 29 na Sołtaniszkach.

Wkroczenie Armii Czerwonej do Wilna. Dzień był pochmurny. Była jakaś radość, entuzjazm, że przychodzi pomoc do Wilna, choć był też niepokój. Przez całą noc była strzelanina. Słyszało się karabiny, karabiny maszynowe, chyba trochę dział też. Nie potrafię zlokalizować miejsca tych walk. Rano wybiegłem, chyba na ulicę Sołtaniską i widziałem na własne oczy żołnierzy polskich, szeregowych, idących bez pasów a za nimi czołgi sowieckie. Z tyłu za wieżyczką czołgów piętrzył się stos karabinów.

Dzień przekazania Wilna Litwinom będę pamiętał bardzo długo bo się wówczas nieźle uśmiełem. Dowiedzieliśmy się, że Litwini będą wkraczali od północy. Pobiegliśmy wówczas, chyba na ul. Wiłkomierską. Zobaczyliśmy żołnierzy litewskich jak się czyścili, przygotowywali się do uroczystego wkroczenia do Wilna. Nie było ich dużo, chyba paręset osób. Byliśmy trochę łobuzy. Pierwsze słowa jakich się po litewsku nauczyliśmy to były: "idź gdzieś...", albo "pocałuj mnie." Myśmy tak do tych Litwinów wołali, oni nam się odgrządzali. Tak żeśmy się trochę zabawili, później uciekliśmy stamtąd i poszli zobaczyć jak wygląda to wkroczenie armii litewskiej. Było to godne pożalowania. Wyglądało to tak, w sile batalionu, pułku chyba nie, pare wozów ciągnęło armaty, trochę koni, wszystko to bardzo żałośnie wyglądało. Mieszkałem w dzielnicy robotniczej. Przed wojną ~~żadnego~~ o Litwinach w Wilnie nie słyszałem, żadnego Litwina nie znałem i nie widziałem. Pierwszych Litwinów jakich zobaczyłem to tych w mundurach jak wkraczali do Wilna. Żydów było mnóstwo, ich liczba wzrosła we wrześniu gdy uciekali przed Niemcami. Inne narodowości. Karaimów było dużo. Jeżeli chodzi o antagonizmy to nic nie mogę powiedzieć. Jako chłopcy to myśmy się tłukli, nie wynikało to jednak z różnic

narodowościowych. Biły się między sobą dwie ulice, np. Żubrowa z Sokolą. Tak to wtedy było.

Gdy w 1939r. wojska litewskie wkraczały do Wilna na ulicach był normalny ruch.

W szkole nauczyciele litewscy na gwałt nas chcieli uczyć języka litewskiego. Myśmy się go nie chcieli uczyć, była to taka postawa patriotyczna, robiliśy strajki. Pozostałe przedmioty prowadzono w języku polskim, uczono też języka polskiego z tym, że nacisk był na litewski.

Ojciec przynosił nieraz do domu jakieś pisemka, ulotki. Wiosną 1943r. przypadkowo z kolegami odkryliśmy w przyległym do budynku podwórzu schowek z bronią. Zauważył to przez okno p. Piekarski i zawołał nas do siebie do domu. Zaczął z nami poważną rozmowę. W konsekwencji zwerbował nas do organizacji konspiracyjnej. Nie wiem jaka to była organizacja. Rozmowa zakończyła się złożeniem przez nas przysięgi na krzyż i pistolet. Pierwszym naszym zadaniem było zwerbować młodzież, która chodziła samopas. Myśmy już mieli taką grupkę przyjaciół, bali to: Byszek Szczęsnowicz / obecnie mieszka w Swinoujściu/, Jerzyk Tryniak z Poznania, Heniek Sawlewicz, Eugeniusz Wnękoni byli uciekinierami z Lublińca/. To była pierwsza grupka, załążek. Później liczyła ona już do 40 chłopców, w wieku od lat już 13-14 do 18-19 a nawet i 20. Piekarski podzielił nas wtedy na dwie grupy młodszych i starszych. Każda grupa liczyła po około 20 chłopców. Obie grupy miały odmienne szkolenie i myśmy się już potem nie spotykali. Naszą działalność polegała na szkoleniu wojskowym. Obejmowało ono naukę o broni, pierwsza pomoc, nauka robienia opatrunków, regulamin wojskowy, walka piechoty, zwłaszcza w mieście. Szkolenia odbywały się za każdym razem w innym mieszkaniu. Mieliśmy kilku instruktorów. Pamiętam jednego z nich, miał charakterystyczny pseudonim "Pafnucy". Dostawaliśmy nieraz polecenie obserwować jakiegoś sąsiada, który prawdopodobnie współpracował z Gestapo, to cośmy zauważyli przekazywaliśmy swoim przełożonym, nosiło się różne rzeczy /broń, bibuła -

choć nie wiedziało się co/ pod różne adresy. Z ciekawszych rzeczy w których brałem udział to był próbny alarm na "kaziuka" /tj 4.04.1944r./ Dostałem za zadanie pójść do Kolonii Wileńskiej i powiedzieć jakieś zdanie, w tej chwili już nie pamiętam jak ono brzmiało. Była straszna plucha, szedłem pieszo przez całe miasto aż do Kolonii Wileńskiej i tam znalazłem ten dom. Powiedziałem co miałem powiedzieć. Później na skrawku bibułki otrzymałem podziękowanie za wykonanie zadania, w nagłówku było chyba napisane "Dowódca Dywizji Pancerniej im. Bolesława Chrobrego". Później brałem też udział w ochronie wigilii Bożego Narodzenia, w której uczestniczyli członkowie sztabu okręgu wileńskiego. Naszym zadaniem /byliśmy we dwóch/ było obserwować co się dzieje przed budynkiem na ulicy, patrzeć czy ktoś nas nie obserwuje. Było to w jakimś zaułku na starym mieście. Co jakiś czas zmieniała nas inna dwójka. Widziałem wtedy wchodzącego na wigilię gen. "Wilka". W pokoju na górze jako ochrona przebywała też duża grupa dobrze uzbrojonych żołnierzy.

Z instruktorów pamiętam jeszcze, oprócz "Pafnucego" pseudonim "Bohun". Grupa w której uczestniczyłem nie wzięła udziału w operacji "Ostra Brama". Bardzo chcieliśmy walczyć, ale Piekarskinam powiedział, że ludzi jest dosyć, a nie ma broni i naszym zadaniem jest przetrwać, by po wojnie służyć Polsce. Na Sołtaniszkach w lipcu 1944r. nie było starć zbrojnych z Niemcami, walki były na Zwierzyńcu. Na drugi dzień rano, gdy szedłem do ciotki na własne oczy widziałem 8-10 zwłok żołnierzy niemieckich.

Po wkroczeniu Armii Czerwonej do Wilna grupa w której uczestniczyłem samoistnie się rozwiązała. Żołnierze AK byli usuwani przez Rosjan z Wilna. W Wilnie z ojcem i matką przebywaliśmy do 15 grudnia 1945rr. W ten dzień, w ramach repatriacji wyjechaliśmy z Wilna do Polski 56 transportem. Był nacisk by Polacy jak najszybciej opuścili Wilno. Jedynie dokument z urzędu repatriacyjnego chronił przed wywiezieniem na Wschód. Było i tak, że po zatrzymaniu przez patrol żołnierze niszczyli te dokumenty i zatrzymanie przez następny patrol groziło aresztowaniem. Przejazd do Polski to była makabra. Dwadzieścia osób na wagon, był pie-

cyk plus meble, ścisk był niesamowity. Pamiętam, że spałem gdzieś pod samym dachem. O jedzeniu nie było mowy. Tylko to co miało się ze sobą. Na granicy przesiadaliśmy się do innego pociągu, staliśmy tu przez trzy doby. Była zima. Dojechaliśmy do Bydgoszczy, a później do Koszalina/ tam była już część naszej rodziny/. W kwietniu 1946r. przyjechaliśmy do Szczecina. W sierpniu 1946r. przyjechaliśmy do Wrocławia.

Spisał Krzysztof Tarka.